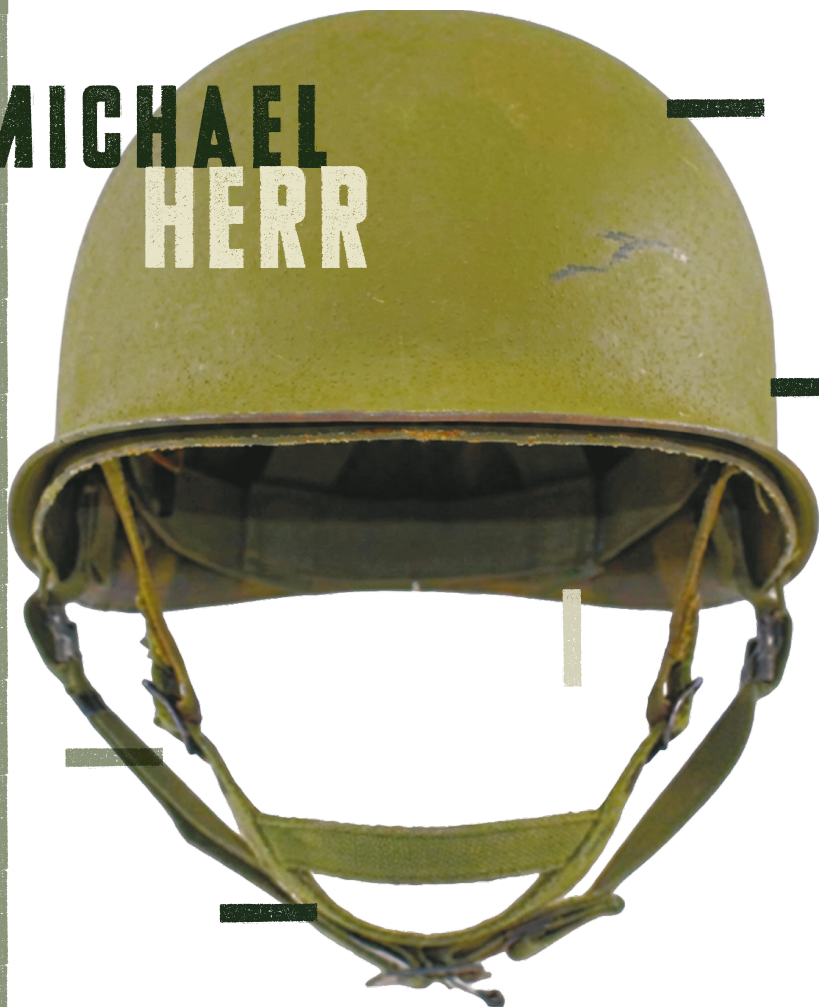


**MICHAEL  
HERR**

PRZEŁOŻYŁ KRZYSZTOF MAJER



**D E P E S Z E**

**PRZEŁOMY**

MICHAEL HERR

# DEPESZE

Przełożył  
i przypisami opatrzył  
KRZYSZTOF MAJER

**PRZEŁOMY**

# SPIS TREŚCI

Wszystkie przełomy Depesz .....	9
WDECH .....	13
PIEKŁO JEST DO DUPY .....	81
KHE SANH .....	97
POGISKI OŚWIETLAJĄCE .....	175
KOLEDZY .....	197
WYDECH .....	259
O TYTULE Krzysztof Majer .....	273
PODZIĘKOWANIA TRUMACZA .....	277

WDECH



Na ścianie mojej sajgońskiej klitki wisiała mapa Wietnamu i czasem, kiedy późną nocą wracałem do miasta, tak zmachany, że ledwo starczało mi sił, żeby zdjąć buty, gapiłem się na nią, wyciągnięty na łóżku. Niesamowita była ta mapa, zwłaszcza teraz, kiedy nic już nie miała wspólnego z rzeczywistością. Po pierwsze, była bardzo stara. Ileś lat temu zostawił ją jeden z poprzednich lokatorów, pewnie Francuz, bo mapa przyjechała z Paryża. Od tych wilgotnych upałów papier pofałdował się w ramce i wyrysowane kraje wyglądały jak przykryte zasłoną. Wietnam po staremu dzielił się tu na Tonkin, Annam i Kochinchinę, a na zachodzie, za Laosem i Kambodżą, leżało sobie Królestwo Syjamu. Stara mapa, mówiłem tym, którzy mnie odwiedzali, bardzo stara.

Gdyby martwe ziemie nawiedzały nas tak, jak robią to zmarli, na mojej mapie można by było przystawić pieczętkę AKTUALNE, a te, których używano po roku '64, spać. Ale spokojnie, nic podobnego nam nie groziło. Była końcówka '67 i nawet najdokładniejsze mapy pokazywały tyle co nic; równie dobrze można było czytać z twarzy Wietnamczyków albo z wiatru - bez różnicy. Wiedzieliśmy, że większość informacji da się wykorzystać na wiele sposobów, a każdy skrawek ziemi mógł różnym osobom opowiedzieć zupełnie różne historie. Wiedzieliśmy też, że od lat nie ma tam żadnych państw, tylko wojna.

Planiści ciągle nam opowiadali o oddziałach Wietkongu, jak to wciągamy je do walki i roznosimy w pył, ale nie mijał miesiąc, a one odradzały się jak gdyby nigdy nic. Nie baliśmy się tego jakoś szczególnie, ale kiedy szło o ich tereny, to zwykle nasi przejmowali je na dobre i nawet jeśli nie daliśmy rady ich utrzymać, to przynajmniej zostawialiśmy coś na pamiątkę. Pod koniec mojego pierwszego tygodnia w Wietnamie, w sztabie 25 Dywizji Piechoty w Cu Chi, oficer informacyjny, którego dopiero co poznałem, pokazał mi najpierw na mapie, a potem ze śmigłowca, co zrobili z lasem Ho Bo - z nieistniejącym już lasem Ho Bo - gdzie ogromne buldożery zrównały z ziemią kilkaset hektarów plantacji uprawnych i dzikich lasów, potem poszły w ruch chemikalia, a na koniec powolny, cierpliwy ogień: „pozbawiono wroga cennych zasobów i schronienia”.

Już prawie od roku praca tego człowieka polegała częściowo na tym, żeby opowiadać o tamtej operacji każdemu, kto się nawinął: korespondentom, kongresmenom na objeździe, gwiazdom filmowym, prezesom korporacji, sztabowcom połowy światowych armii, i wciąż nie mógł się tym nacieszyć. Tryskał energią i entuzjazmem, można sobie było wyobrazić, że nawet żonie w listach ciągle o tym nawija, bo tu gołym okiem było widać, że jak się ma odpowiednią wiedzę i sprzęt, to można naprawdę wiele. Co z tego, że w ciągu paru miesięcy na większości terenów strefy wojennej C działania przeciwnika „znacznie” się nasiliły, a strat po stronie amerykańskiej było dwa, a potem i cztery razy więcej? Na pewno nie dotyczyło to lasu Ho Bo, spokojna głowa...

## I

Kiedy wychodziliśmy nocą, sanitariusze dawali piguły, po deksedrynie z gęby cuchnęło jak ze słoika ze zdechłymi wężami. Ja tam obywałem się bez takich, wystarczyła odrobina „kontaktu ogniowego”, albo coś w tym stylu, i już miałem taką jazdę, że ledwo wyrabiałem. Jeden dźwięk spoza naszego małego, ścieśnionego kręgu i od razu mi odbijało, mogłem się tylko modlić, żeby jeszcze ktoś inny to usłyszał. Kilka wystrzałów gdzieś w mroku o kilometr od nas i już czułem słoniowy ciężar na piersi, cały oddech szedł w buciory. Raz w gęszczu mignęły mi jakieś światła i złapałem się na tym, że prawie szepczę, „nie jestem na to gotowy, nie jestem gotowy”. Wtedy uznałem, że dam sobie spokój i na nocę znajdę jakieś inne zajęcie. A przecież to było nic w porównaniu z tym, co robili nocni zwiadowcy, patrole rozpoznawcze dalekiego zasięgu, czyli „lurpy”<sup>1</sup>. Wychodzili noc w noc, całymi tygodniami, miesiącami, podkradali się pod obozowiska Wietkongu, krążyli wokół przemieszczających się kolumn WAL<sup>2</sup>. Już i tak byłem zbyt pochłonięty samym sobą, musiałem się z tym tylko pogodzić. W każdym razie piguły wolałem zostawić na później, na Sajgon i tę paskudną deprechę, która zawsze mnie tam dopadała.

Znałem takiego lurpa z 4 Dywizji Piechoty, który łykał to świniństwo garściami, w lewej kieszeni panterki miał zamulacze, a w prawej przyspieszacze, jedno, żeby przetrzeć szlak, a drugie, żeby zasuwać dalej. Twierdził, że łapie po nich równą fazę i potem w tych ciemnościach całutką dżunglę widać jak przez noktowizor.

– Wtedy dopiero masz zasięg – mówił.

To była jego trzecia tura. W 1965 jako jedyny ocalał z plutonu kawalerii powietrznej, zdziesiątkowanego podczas marszu przez dolinę Ia Drang. W '66 wrócił jako żołnierz sił specjalnych i jak

---

<sup>1</sup> Potoczna nazwa *lurps* pochodziła od skrótu LRRP, Long-range Reconnaissance Patrol (patrol dalekiego rozpoznania). [O ile nie oznaczono inaczej, przypisy dolne pochodzą od tłumacza].

<sup>2</sup> WAL – Wietnamska Armia Ludowa (oznaczenie angielskie: NVA, North Vietnamese Army).

któregoś ranka wpadli w zasadzkę, ukrył się pod ciałami towarzyszy, a ci z Wietkongu krążyli z nożami, tak dla pewności. Pościągali z naszych oporządzenie, zabrali berety i wreszcie poszli, słyszał jeszcze, jak rechoczą. Jeśli po czymś takim chcesz wrócić do Wietnamu, to już tylko jako lurp.

- Tam, w Stanach to ja jakoś nie bardzo - powiedział. Za tym ostatnim razem nie ruszał się nawet z pokoju, tylko czasem wystawił sobie strzelbę przez okno i tak długo wodził za ludźmi i autami, aż całe czucie skupiło się w opuszku jednego palca. - Starzy tylko mieli stres - dodał, ale stres to i tutaj ludzie z nim mieli. Nawet tu.

- Nie no, jak dla mnie gość jest trochę za bardzo odjechany - stwierdził któryś z jego zespołu. - Weź mu zajrzyj, kurwa, w oczy, od razu skumasz.

- Taa, tylko się streszczaj - dodał inny. - Znaczy się, wiesz, żeby cię nie przyuważył.

Ale on chyba cały czas czuwał, pewnie spał z otwartymi oczami, a ja już i tak miałem stracha. Raz tylko mi się udało: jakbym patrzył na dno oceanu. Facet nosił złoty kolczyk i opaskę wyszarpaną ze spadochronu wojskowego, a że nie było za bardzo chętnych, żeby mu coś powiedzieć o włosach, chodził z długimi, aż za ramiona, gdzie opadały na zgrubiałą, fioletową bliznę. Wszędzie nosił czterdziestkę piątkę i nóż, nawet w sztabie dywizji, a mnie uważał za cudaka, bo w ogóle nie miałem broni.

- Reportera nie widziałeś? - spytałem.

- Potrzebniście jak kurwie majtki - odparł. - Bez urazy.

Ale jaką on mi opowiedział historię wojenną, może najtrafniejszą i najgłębszą ze wszystkich, które tam słyszałem. Rok mi zajęło, żeby ją zrozumieć:

- Wysłaliśmy patrol rozpoznawczy w góry. Wrócił jeden koleś. Umarł, zanim nam powiedział, co się stało.

Czekałem na dalszy ciąg, ale to najwyraźniej nie była historia tego typu; kiedy spytałem, co właściwie się tam wydarzyło, spojrział na mnie z politowaniem; na chuj marnować czas z takim idiotą.

Całą gębę już miał pomazaną na te nocne zwiady i wyglądał jak zły sen, zupełnie co innego niż te pomalowane buźki, które ledwie parę tygodni wcześniej widziałem w San Francisco, na drugim krańcu tego samego teatru. Za parę godzin, myślałem, facet przykucnie gdzieś w dżungli, niewidoczny i niemy jak kłoda, a tamtych niech Bóg ma w opiece, chyba że będzie ich co najmniej pół drużyny, bo zabójcą był przednim, jednym z najlepszych, jakich mieliśmy. Reszta zgromadziła się już przed namiotem, który stał trochę na uboczu; mieli tam lurpowską latrynę i ekskluzywne racje żywnościowe – trzygwiazdkowe wojskowe żarło, kotlety jak z Abercrombie & Fitch. Chłopcy z innych oddziałów musieli mijać ich namiot po drodze do kantyny, ale właściwie obchodzili go łukiem. Żeby nie wiem jak ich wojna zahartowała, przy lurpach dalej wyglądali na niewiniątka. Kiedy zespół był w komplecie, pomaszerowali gęsiego zboczem wzgórza, przez lądowisko aż do zasieków, za którymi wchłonęła ich dżungla.

Potem już z nim nie gadałem, ale jeszcze raz mi mignął. Rano, jak wrócili, prowadził jeńca, który miał na oczach przepaskę i ręce mocno związane z tyłu. Wiadomo było, że na przesłuchania nikogo do strefy lurpów nie wpuszczają, a ja już i tak czekałem na śmigłowiec, który miał mnie stamtąd zabrać.

– Ej, jesteście z USO<sup>3</sup>? Myśleliśmy, że z USO, bo takie kudły!

Page pstryknął chłopakowi zdjęcie, ja notowałem, a Flynn parsknął śmiechem i powiedział, że jesteśmy z Rolling Stonesów. Tego lata przez jakiś miesiąc wszędzie jeździliśmy we trzech. Raz przyłecieliśmy śmigłowcem z dowództwa brygady i z anteny powiewał prawdziwy lisi ogon. Mijał nas dowódca i mało co nie dostał zawału.

– Co to, żołnierze, oficerowi nie salutujecie?

– Jacy żołnierze – odpowiedział Page. – Korespondenci.

---

<sup>3</sup> USO (United Service Organizations) – organizacja non profit, która zajmuje się podtrzymaniem morale żołnierzy amerykańskich za granicą, m.in. organizuje występy artystów.

Jak tylko facet to usłyszał, od razu chciał zorganizować jakąś operację wojskową, rzucić do akcji całą brygadę i odstrzelić paru łebków. Trzeba było się szybko zbierać, dosłownie następnym śmigłowcem, żeby dał sobie spokój; niesamowite, co ludzie zrobią dla odrobiny sławy. Page oprócz aparatów lubił się poobwieszać jakimiś wariacjami chustami, paciorkami, no i jeszcze był Angolem, więc chłopaki gapili się na niego, jakby przed chwilą trafił tu z Marsa. Z kolei Sean Flynn wyglądem potrafił czasem zakasować nawet swojego ojca, Errola, w *Kapitanie Bloodzie* sprzed trzydziestu lat, chociaż czasem bardziej przypominał Artauda, który właśnie wynurzył się z jakichś ciężkich halunów – jądro ciemności, te sprawy, nadmiar informacji, dane! Dane! Cały spocony, siedział w jednym miejscu godzinami i piłką od scyzoryka czesał wąsy. Mieliśmy trawę, mieliśmy szpulę: *Have You Seen Your Mother, Baby (Standing in the Shadow)*, składankę Animalsów, *Strange Days*, *Purple Haze*, Archie Bell & the Drells, „Dawajcie, tańczymy *Tighten up...*”. Co jakiś czas rzucało nas w któryś z niższych kręgów piekła, ale jak na wojnę to był raczej luz, głównie ładowiska, obozy, żołnierze, ich twarze, ich historie.

– Najlepiej w ogóle się nie zatrzymywać – doradził nam któryś. – Nawet na chwilę, trzeba cały czas być w ruchu, czaicie?

Czailiśmy. Gość wyznawał teorię pod tytułem „ruchomy cel przeżyje”, był prawdziwym dzieckiem wojny, bo o ile nie wpadłeś w zasadzkę albo nie odcięli cię od reszty, co było dość rzadkie, to system był tak zaprojektowany, żebyś mógł się ciągle ruszać, jeśli uważałeś, że tego ci właśnie trzeba. Sposób na przeżycie pewnie tak samo dobry jak każdy inny, skoro już się tu znalazłeś i chciałeś się wszystkiemu przyjrzeć z bliska; z początku szło prosto i cacy, ale już za chwilę twój osobisty tunel zaczynał się zwężać w stożek, bo im więcej się ruszasz, tym więcej widzisz, a im więcej widzisz, tym więcej ryzykujesz (nie chodzi już nawet o kalectwo i śmierć), a im więcej ryzykujesz, tym więcej będziesz musiał pewnego dnia z siebie zrzucić, już jako „ocalały”. Niektórzy z nas biegali po tej wojnie jak szaleńcy, aż sami przestali rozumieć, dokąd tak pędzą, zostawała sama otoczka i tylko czasem

nagle udało się wdrzeć do wewnątrz. Dopóki mogliśmy do śmigłowca wskakiwać jak do taksówki, trzeba było totalnego wyczerpania, deprechy na granicy wstrząsu albo kilkunastu fajek opium, żeby chociaż wyglądać na spokojnych, bo gdzieś tam w środku dalej zasuwaliśmy, jakby coś nas goniło, *La Vida Loca*, ha, ha.

W pierwszych miesiącach po powrocie te setki śmigłowców, którymi latałem, zaczęły mi się składać w jeden wielki metaśmigłowiec, no i naprawdę nic seksowniejszego nie umiałem sobie wyobrazić; wybawiciel-niszczyciel, dobroczyńca-marnotrawca, ojcowska prawica i lewica, zwinny, zgrabny, przebiegły i ludzki; rozgrzana stal, smar, przesiąknięty dżunglą brezent, zastygły pot, który po chwili znów parzy, w jednym uchu rock and roll z kasyty, w drugim serie z umocowanego w drzwiach cekaemu, paliwo, żar, energia i śmierć, istna śmierć, ona była tu u siebie. Piloci opowiadali, że jeśli raz zabierzesz trupa na pokład, to już cię nie zostawi w spokoju, zawsze będzie z tobą latał. Strasznie byli przesądni, jak to żołnierze, i odstawiali nieustanny teatr, ale była w tym jakaś nieznośna prawda (wiedziałem o tym): kiedy jesteś tuż obok zmarłych, zaczynasz rozumieć siłę ich obecności, która odbija się długim echem; naprawdę długim. Tym co bardziej delikatnym wystarczyło jedno spojrzenie i już było po nich, ale nawet najgorszy prymityw umiał wyczuć, że dzieje się coś dziwnego, niezwykłego.

Śmigłowce, ludzie skaczący ze śmigłowców, goście tak wkręceni, że ładowaliby się na pokład nawet bez potrzeby. Maszyny startujące pionowo z niewielkich, oczyszczonych połaci dżungli, lądujące chwiejnie na jakimś miejskim dachu, w dół kartony z prowiantem i amunicją, w górę ciała i ranni. Czasami latało tego tyle, że w dzień mogłeś obskoczyć pięć, sześć lądowisk, rozejrzeć się, popytać, wrócić następnym. Niektóre bazy były wielkie jak miasta, trzydzieści tysięcy ludzi, a raz paczkę z zaopatrzeniem zrzucał jedenemu jednemu facetowi. Bóg wie, co za feniksowe numery ten Lord Jim tam odstawiał, powiedział tylko: „Szefuńciu, nic nie widziałeś, co nie? Nawet cię tu nie było”. Zdarzały się i luksusowe, tłuste baziska z wentylacją,

wygody dla klasy średniej, gdzie o przemocy się milczało, była „gdzie indziej”; obozy, którym dowódcy nadawali imiona żon, jakieś lądowisko Thelma czy inna Betty Lou; ponumerowane wzgórze owiane złą sławą, tam nie miałem ochoty zostawać; szlaki, ryżowiska, bagna, skłębione zarośla, krzewy, mokradła, osady, nawet miasta, gdzie ziemia nie była w stanie wchłonąć tego, co się rozlało podczas akcji, ciągle musiałeś patrzeć pod nogi.

Czasem śmigłowiec mijał grzbiet wzgórze i zaraz za nim aż do następnego ciągnął się spalony, zryty krajobraz, z którego jeszcze buchał dym, i coś ci się wtedy kotłowało między mostkiem a żołądkiem. Cienki, szary dym znad spalonych ryżowisk wokół strefy wolnego ostrzału, biały, oślepiający dym od fosforu („Willy Peter nauczy cię modlitw”<sup>4</sup>), gęsty, czarny słup dymu napalmowego, podobno jak staniesz przy samym kłębie, to nie da rady złapać tchu. Raz lecieliśmy nad ledwo co zbombardowaną wioską i nagle wskoczyły mi słowa piosenki Wingy’ego Manone’a, którą pamiętałem z dzieciństwa: „Kończcie tę wojnę, bo się pozabijają!”. Śmigłowiec zniżył lot, zawisł w powietrzu i zaczął osiadać w fioletowym dymie nad lądowiskiem. Ze wszystkich chatek dookoła wybiegły dzieci. Było ich parędziesiąt, całą chmarą rzuciły się do miejsca, które sobie upatrzyliśmy, a pilot się śmiał: „Wietnam, człowieku. Najpierw napalm, potem nakarm”.

Latanie nad dżunglą to niemal czysta przyjemność, ale łożenie po niej to nic, tylko ból. W tym się nigdy nie odnajdowałem. Może dżungla to faktycznie było „Tam”, jak mówili na nią miejscowi; nie było z nią żartów, a tego, co mi odebrała, pewnie już nigdy nie odzyskam. („Daj spokój, dżungla jest OK. Jak się z nią znasz, to żyjesz jak król, a jak nie, to w godzinę cię załatwi. Albo i szybciej”). Raz gdzieś w tym gąszczu jeden korespondent powiedział do kilku żołnierzy: „Kurde, chłopaki, pewnie macie tu piękne zachody słońca”, no i tamci się prawie poszczali ze śmiechu. Fakt, że czasem leciało się prosto

---

<sup>4</sup> „Willy Peter / Make you a believer” – powiedzonko amerykańskich żołnierzy w Wietnamie. Fosfor nazywano swojsko „Willy Peter” od skrótu WP (*white phosphorus*).

w te gorące tropikalne zachody i człowiek już nigdy potem nie myślał o świetle w ten sam sposób. Innym razem zostawiałeś za sobą coś tak upiornego, że już po pięciu minutach wszystkie wspomnienia robiły się czarno-białe.

Coś takiego mogło człowieka porządnie zmrozić, stoisz sobie na skraju polany i patrzysz za helikopterem, z którego właśnie wysiadłeś, i zastanawiasz się, co cię w tym miejscu czeka, myślisz: może to złe miejsce, może niewłaściwe, może już ostatnie, może tym razem już naprawdę po tobie.

W bazie w Soc Trang jeden facet powiedział mi, jak tylko wylądowaliśmy: – Szukasz tematu? No to masz farta, akurat jest stan pełnej gotowości.

Jeszcze wirniki nie ucichły, a ja już wiedziałem, że to coś dla mnie.

– Potwierdzam – rzucił dowódca bazy. – Na pewno będzie gorąco. Super, że pan zajrzał. – Kapitan był młody, wesoły, sklejał akurat taśmą kilka magazynków do M16, denko do denka, żeby można było szybciej ładować, bo większy „wygar”. Cała kompania się uwijała, rozbijali skrzynki, bunkrowali granaty, sprawdzali pociski moździerzowe, układali naboje, ładowali do karabinów magazynki łukowe (pierwszy raz w życiu takie widziałem). Totalne skupienie na rozrzuconych wokół bazy stanowiskach nasłuchu, na sobie samych, na reszcie, a potem zapadł zmrok i było już tylko gorzej. Wstał ohydny księżyc w pełni: oślizgły, tłusty owoc. Wydawał się miękki, przykryty szafranową mgiełką, ale na worki z piaskiem i gąszcz dżungli padały ostre, jasne promienie. Musieliśmy kłaść pod oczy specjalny krem z przydziału, żeby chronić je przed tym światłem i okropieństwami, które wyciągało na wierzch. (Koło północy, ot tak, poszedłem aż na drugą stronę obozu i wyjrzałem przez zaskieki na drogę, do szosy numer cztery biegła tam prosto jak spod linijki żółta, zamrożona wstęga nienacka gdzieś w ciemnościach: teraz to wszystko się ruszało). Chłopaki posprzeczały się o to, komu wreszcie to światło sprzyja, atakującym czy atakowanym, patrzyłem na nich wszystkich, na te

panoramiczne oczy, szczęki wysunięte jak do strzału, wiercili się, kręcili, niecierpliwili w tych swoich mundurach. – Luzu nie może być za bardzo, Charlie<sup>5</sup> nie wie, co to luz, na chwilę się odprężysz, to ci nasra na łeb. – I na takim haju do rana, paczka szlugów starczała mi na godzinę, ale nic się nie wydarzyło. Dziesięć minut po wschodzie słońca stałem już na lądowisku i rozpytywałem o następny śmigłowiec.

Parę dni później poleciliśmy z Seanem Flynnem do dużej bazy wsparcia ogniowego w taktycznym obszarze odpowiedzialności Dywizji Americal, no to tam znów było przegięcie w drugą stronę, Gwardia Narodowa przyjechała na weekend<sup>6</sup>. Pułkownik był tak zalany, że nie mógł nic wybełkotać, a jeśli już, to rzeczy w stylu: „Już my ich tu dopilnujemy, niech tylko złączą kombinować, nie złapią nas ze spuszczoneymi gaciami”. Kazano im przede wszystkim prowadzić artyleryjski ostrzał nękający<sup>7</sup>, ale jeden z chłopaków powiedział nam, że wyniki mają najgorsze w całej strefie taktycznej, a może i w całym kraju, to znaczy udało im się znękać i odstraszyć całą masę śpiących cywili i koreańskich marines, a nawet kilka własnych patroli, ale nikogo z Wietkongu. (Pułkownik cały czas mówił „artyleria”. Za pierwszym razem obaj z Flynnem odwróciliśmy wzrok, ale już za drugim piwo nam poszło nosem i wtedy pułkownik sam się rozrechotał, jeszcze głośniejszy niż my). W każdym razie żadnych worków z piaskiem, pocisków na wierzchu, brudnego sprzętu ani gości szukających zaczepki. Na lotnisku Sean zagadał telefonistę i facet się zdrowo wnerwił. „A chuj ci w dupę, jeszcze wam mało? Od trzech miesięcy nie mieliśmy tu nikogo z VC”.

– Tak trzymać – odpowiedział Sean. – A o śmigłowcu coś już wiecie?

---

<sup>5</sup> Charlie (właściwie Victor Charlie) – najpopularniejsze przezwisko całego Wietkongu albo pojedynczego żołnierza tej formacji. Amerykanie używali go jako swojego rozwinięcia akronimu VC (ang. Vietcong).

<sup>6</sup> Służbę wojskową można było odbyć w szeregach Gwardii Narodowej. Taką służbę nazywano pogardliwie „weekendową”, ponieważ w ciągu miesiąca należało się stawić na jeden weekend.

<sup>7</sup> Chodzi o tzw. misję H&I, czyli *harassment and interdiction*, polegające na odstraszeniu wroga od określonych terenów poprzez nękanie go nieukierunkowanymi seriami z karabinów maszynowych.

Ale czasami cały ten interes się zatrzymywał, nic nie latało i nie można się było nawet dowiedzieć, co jest grane. Raz utknąłem gdzieś w Delcie Mekongu, w jakiejś zapadłej dziurze, sierżant wpierdzielał jednego batona za drugim i dwadzieścia godzin na dobę puszczał country, słyszałem to już nawet przez sen, w sumie jaki tam sen, ciągle tylko „hen na Górze Wolverton”, „nie chciałaś mnie, bardzo mi źle, w Grocie Millera jak niedźwiedź śpię!”, „bo w ognisty wpadłem krąg”, no i wokół stado rozdrażnionych kmiotów, tak samo niedospianych, bo nie ufali ani jednemu z czterystu najemników, ani nawet wartownikom, których sami sobie wybrali, w sumie nikomu, może z wyjątkiem Babe’a Rutha i Johnny’ego Casha. Już od tak dawna żyli w ciągłym napięciu, że bali się, że się po prostu nie zorientują, jedna chwila i nagle wszystko – „płonie, płonie, płonie”... Wreszcie czwartego dnia zjawił się śmigłowiec z zapasem mięsa i filmów, no to się zabrałem i taki byłem szczęśliwy, że znów jestem w Sajgonie, że przez dwa dni nie zmrużyłem oka.

Niby aeromobilność, takie tam, ale nikt się nigdzie nie wybierał. Może i czułeś się bezpieczny, Wszech- i w ogóle, ale to była zwyczajna sztuczka, technika. Mobilność mobilnością, cały czas jednym ratowała życie, a innych skazywała na śmierć (nie wiem, ile razy uratowała moje, może kilkadziesiąt, może ani razu), ale tak naprawdę człowiek musiał być elastyczny, tu trzeba było mieć dar znacznie większy od tego, który zapewniała technika, prawdziwy dar spontaniczności, łatwość akceptowania życiowych niespodzianek, a ja tego za cholerę nie umiałem. Znienawidziłem niespodzianki, byłem jak paranoik na rozdrożu, a tym, którzy zawsze muszą wiedzieć, co będzie dalej, wojna potrafi nieźle dowalić. I żebyś cuda wyczyniał, i tak nie udawało się oswoić z dżunglą, z tym chujowym klimatem ani z tą dziwnością, którą wszystko tu było przesycone i której wcale z czasem nie ubywało, raczej pęczniała i ciemniała w coraz głębszą alienację. Jeśli umiałeś się dostosować, to super, i pewnie, że trzeba było się starać, ale niektórzy tu mieli prawdziwą samodyscyplinę,

umieli wypracować swój własny wojenny metabolizm, spowolnić akcję serca, kiedy chciało wyskoczyć z piersi, przemieszczać się błyskawicznie, kiedy wszystko dokoła zamierało i jedyną oznaką życia była przewalająca się przez ciebie entropia. Jednym słowem, takie sobie warunki.

Teren: przedmiot nieustannej gry, nieustannego przeczesywania. To, co pod spodem, było ich, to, co na wierzchu – nasze. Mieliśmy powietrze, w które można się było wzbić, ale w którym nie dało się zniknąć, wiedzieliśmy, jak uciec, ale nie potrafiliśmy się ukryć, za to im te rzeczy wychodziły tak dobrze, że zdawali się robić je wszystkie naraz, aż nam technika wiotczała. Ale tu czy tam, nieważne, ten rock and roll trwał na okrągło, dni były nasze, a noce ich. Nawet w najlepiej strzeżonym miejscu w Wietnamie czułeś, że twoje bezpieczeństwo jest tymczasowe, że przedwczesna śmierć, ślepotą, utrata nóg, rąk, jaj, ciężkie i nieuleczalne kalectwo – całe to gówno – może ci się przytrafić pechotrafem, tak samo tutaj jak w „normalnych” okolicznościach, tyle takich historyjek chodziło, że aż dziwne, że ktoś w ogóle umierał w wymianie ognia i ostrzałach z moździerzy czy rakiet. Po paru tygodniach, jak już mi wreszcie we łbie zaskoczyło, że tu wszyscy noszą broń, to zrozumiałem, że każda może w dowolnej chwili wypalić i nie będzie miało znaczenia, że wypadek. Drogi były zaminowane, szlaki jeżyły się od pułapek, Jeepy i kina wybuchaly od bomb i granatów, VC miał swoich ludzi w każdej bazie, byli naszymi pucybutami, praczkami i czyścicielami latryn, krochmalili nam mundury, palili nasze gówno, a potem szli do domu i walili w nas z moździerzy. W Sajgonie, Cholon<sup>8</sup> i Da Nang atmosfera była tak ciężka, że pod każdym spojrzeniem czułeś się jak na celowniku, a śmigłowce ze sto razy dziennie spadały z nieba jak zatrute ptaszyska. Po jakimś czasie nie umiałem już wsiąść na pokład i nie myśleć, że chyba jednak mi odjechało.

---

<sup>8</sup> Cholon – chińska dzielnica Sajgonu.

Strach w ruchu, strach w bezruchu i jak tu wybierać, kiedy nie wiadomo nawet, co gorsze, samo czekanie czy to, na co czekasz. W walkach zawsze więcej przeżyło, niż zginęło, ale między jedną a drugą wszyscy czuli się fatalnie, zwłaszcza jeśli dzień w dzień szli szukać guza; na nogach źle, w ciężarówkach i transporterach beznadziejnie, w śmigłowcach okropnie, chyba najgorzej, bo w ogromnym tempie zbliżałeś się do jakiejś makabry. Pamiętam, że nieraz zdychałem wtedy ze strachu: prędkość ustalona, kierunek wytyczony, wszystko zapieprza w jedną stronę. Nawet „bezpieczne” wypadki z lądowiska do bazy wsparcia ogniowego robiły swoje; wystarczyło, że raz byłeś na pokładzie i ostrzelali was z ziemi, to paniczny lęk przed śmigłowcami już zawsze miałeś gwarantowany. Przy tradycyjnym „kontakcie ogniowym” wypruwałeś się z energii, wszystko było szybkie, soczyste, oczyszczające, ale lecąc ku czemuś takiemu, czułeś tylko pustkę, suchość, chłód i paraliż, od tego nie było ani chwili wytchnienia. Mogłeś tylko rozglądać się po pokładzie, czy inni są tak samo odrętwiali ze strachu. Jeśli nie sprawiali takiego wrażenia, to chyba mieli źle w głowach, a jeśli sprawiali, to tak naprawdę tym gorzej dla ciebie.

Przechodziłem przez to wszystko ileś razy i tylko raz ten mój strach się ziścił, ostre lądowanie, klasyka gatunku, koszące serie spomiędzy drzew o trzysta metrów dalej, nasi nurkowali w bagna, biegli na czworakach, żeby schować się w trawie tam, gdzie nie przypłaszczył jej podmuch od wirników, kiepska osłona, ale lepsza niż nic. Helikopter poderwał się, jeszcze zanim wszyscy zdążyliśmy wysiąść, i ostatni musieli skakać z sześciu metrów, w ten cały ogień z karabinów na polu i z cekaemu w drzwiach śmigłowca. Jak już dopadliśmy jakiejś grobli i kapitan kazał nam się odliczyć, zdziwiliśmy się bardzo, że wszyscy są cali, tylko jeden gość skreślił od skoku obie kostki. Później sobie przypomniałem, że w tym błocie kołatała mi się myśl: pijawki. Najwyraźniej postanowiłem nie dopuścić do siebie powagi sytuacji.

- Stary, wybór to tu jest naprawdę do dupy - powiedział mi kiedyś jeden marine, ale nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że chodzi mu o coś innego: że wyboru nie miało się wcale. Mówił akurat o konkretnej

rzeczy, o racji żywnościowej typu C, czyli „obiedzie” z puszki, ale facet był młody i naprawdę trudno go było potępiać za przekonanie, że wszystkim zwisa, czego mógłby chcieć. Na pewno mu się nie spieszyło, żeby komuś za to jedzenie dziękować, ale cieszył się, że żyje i je sobie wcina, przecież już dawno mogła go ta kurwa zeżreć. Chłopak od pół roku nie czuł właściwie niczego prócz zmęczenia i strachu, niejedno już stracił (przede wszystkim kumpli), widział o wiele za dużo, a jednak ciągle robił wdech, wydech, i to samo w sobie było jakimś wyborem.

Miał twarz, którą widziałem chyba z tysiąc razy w stu różnych obozach i bazach, twarz, z której uszła cała młodość: skóra nie miała już w sobie ani odrobiny koloru, usta były białe i zimne, od razu było widać, że inaczej nie będzie i że chłopak zdaje sobie z tego sprawę. Życie zrobiło z niego starca i jako starzec miał dożyć swoich dni. Te wszystkie twarze – czasem czułem się jak na koncercie rockowym, takie były skupione, pochłonięte tym, co widzą; a kiedy indziej jakbym patrzył na twarze uczniów, co to parę klas zrobili awansem i teraz wyglądają za poważnie na swoje lata, tylko że ja wiedziałem dokładnie, co im te minuty i godziny wypełniło. Widywałem też inne twarze: takich, którzy zdawali się nie mieć już siły, żeby ruszyć dupsko i przeczołgać się przez kolejny dzień, nieróżniący się niczym od poprzedniego. (Co czujesz, kiedy dziewiętnastolatek mówi ci z rozbrajającą szczerością, że już jest za stary na ten cały szajs?). Jeszcze inne mieli zabici i ranni, którzy wyglądali raczej na wyzwolonych niż zaszczutyh. A te tutaj to były twarze chłopców, którym życie się kompletnie znarowiło, siedzieli o półtora metra dalej, ale popatrywali na ciebie znad jakiejś przepaści i wiedziałeś, że nigdy tam do nich nie dotrzesz. Gadało się, czasem w śmigłowcu, niektórzy lecieli na przepustkę<sup>9</sup>, inni eskortowali ciała, jeszcze innym odbiło i mieli teraz ostrą jazdę

---

<sup>9</sup> Chodzi o tzw. R&R (*rest and relaxation* albo *rest and recuperation*), czyli kilkudniowe przepustki, które pozwalały żołnierzom na pobyt relaksacyjny (głównie seksturystykę) w takich miejscach, jak Bangkok, Hongkong, Singapur czy Hawaje.

na pacyfizm albo przemoc. Kiedyś trafił mi się chłopak, który leciał do domu, obejrzał się ostatni raz na te pola, na których przesiedział cały rok, i jak się rozplakał, to nie mógł przestać. Czasem nawet latało się z trupami.

Raz wskoczyłem do śmigłowca wylądowanego nimi po brzegi. Dzieciak z punktu obserwacyjnego wspominał, że będzie ciało na pokładzie, ale był niedoinformowany. – Jak bardzo ci zależy, żeby się dostać do Da Nang? – spytał, a ja mu na to, że bardzo-bardzo.

Jak się już połapałem, to nie chciałem wsiadać, ale specjalnie dla mnie zmienili trasę i dodali międzylądowanie, no to już nie było rady, poza tym wyszedłbym na mięczaka. (Pamiętam też taką myśl: prędzej zestrzelą śmigłowiec z żywymi niż z umarłymi). Nie zapakowali ich nawet w worki. Dowiedziałem się, że ciężarówka wpadła na zdalnie odpaloną minę gdzieś w strefie zdemilitaryzowanej, koło jednej z baz wsparcia ogniowego dla Khe Sanh, no i wylecieli w powietrze. U marines ciągle czegoś brakowało, nawet żarcia, amunicji i leków, więc się nie zdziwiłem, że i worki im się pokończyły. Tych tutaj owinęli w pałatki, zwiążali byle jak plastikiem i dawaj z nimi na pokład. Został mi kawałek podłogi między jednym z ciał a bocznym strzelcem, facet był blady jak ściana i wyglądał na strasznie wkurzonego, myślałem, że na mnie, i z początku bałem się nawet na niego spojrzeć. Kiedy śmigłowiec poderwał się do lotu, zaczęło wiać na przestrzał i trząść tymi pelerynami, i w końcu ta obok mnie odwinęła się gwałtownie, odsłaniając twarz. Nawet oczu mu nie zamknęli.

Strzelec zaczął z całych sił wrzeszczeć: „Zrób coś z tym!”, może mu się wydawało, że te oczy na niego patrzą, ale ja nie potrafiłem się na to zdobyć. Moja ręka parę razy wędrowała w tamtym kierunku, ale nie byłem w stanie, a potem nagle się przemogłem. Zaciągnąłem pałatkę jak najszczelniej, uniosłem delikatnie głowę zabitego i zatknąłem materiał pod spód. Potem nie mogłem uwierzyć, że to zrobiłem. Tamten przez całą podróż próbował się uśmiechnąć, a kiedy wylądowaliśmy w Dong Ha, podziękował mi i pobiegł po grupę roboczą.

Piloci zeskoczyli na ziemię i poszli, nawet się nie oglądając, jak gdyby nigdy w życiu nie widzieli tego śmigłowca. A ja do Da Nang załapałem się na samolot generalski.

## II

Wiesz, jak jest: patrzyłbyś, ale nie chcesz. Pamiętam to dziwne uczucie, kiedy jako dzieciak oglądałem fotografie wojenne w magazynie „Life”, te z ciałami, z mnóstwem ciał leżących jedno przy drugim na jakimś polu, albo na ulicy, często jakby się dotykały, obejmowały. Nawet kiedy obraz był ostry i wyraźny, było w nich coś niejasnego, stłumionego, coś trzymało je w ryzach, brakowało najważniejszej informacji. Chyba właśnie tak uzasadniałem swoją fascynację, dzięki temu mogłem patrzeć, ile mi się podobało; wtedy nie znalazłbym odpowiednich słów, ale pamiętam to poczucie wstydu, jakbym po raz pierwszy oglądał pornografię, całą pornografię świata naraz. Ale nawet gdybym się na to gapił do przepalenia wszystkich lamp, i tak nie umiałbym zaakceptować związku między oderwaną nogą a resztą ciała ani tych absurdalnych póz (po latach miałem usłyszeć, że fachowo nazywa się to „reakcją na uraz”), tych ciał, które zbyt gwałtownie powykręcały się w jakieś niewiarygodne kontorsje.

Ani tej całkowitej anonimowości, jaka towarzyszyła śmierci zbiorowej, tego, że musieli leżeć, gdzie popadnie, byle jak, przewieszeni przez zasieki albo rozwiązłe, na innych ciałach, albo gdzieś w gałęziach drzew, jak jacyś akrobaci śmierci, „fajna sztuczka?”.

Potem już niby miało być inaczej, nic nie powinno było zaciemniać obrazu, kiedy leżeli tuż obok, na prawdziwej ziemi, ale w takich sytuacjach człowiek zwykle sam wytwarzał sobie taką przesłonę, bo tak często i zaciekle musiał się bronić przed tym, co widzi, przed tym, po co przejechał te pięćdziesiąt tysięcy kilometrów. Raz patrzyłem na ciała porozrzucane między zasiekami a dżunglą, większość leżała na kupie niedaleko drutów, dalej – gdzieś w połowie drogi – kilka

NIECH BÓG MA

TEN KRAJ

W OPIECE.



WRACAM DO DOMU.

Powieść Michaela Herra to rzecz przełomowa na wielu poziomach. I tak, spokojnie można uznać, że jest to reportaż, ale niemal każdy, kto zetknie się z tym tekstem, od razu rozpozna, że nie jest to jednak typowy przykład tego gatunku – to reportaż nie reportaż, powieść nie powieść. I to ta niejednoznaczność stylistyczna stanowi o sile tego utworu. ■■■■■

*Depesze* to bowiem niemal sztandarowy przykład Nowego Dziennikarstwa, amerykańskiego ruchu literackiego z przełomu lat 60. i 70. XX w., który mocno przesuwał granicę między beletrystyką a literaturą faktu, a wiele książek tego prądu takich autorów jak Truman Capote, Hunter S. Thompson czy Norman Mailer trwale wpisało się do kanonu literatury. ■■■■■

O wojnach powstało tysiące książek, ale śmiało można powiedzieć, że *Depesze* to wśród nich książka wyjątkowa i w pewnym stopniu przełomowa. ■■■■■

Książka dostępna  
także jako e-book.

wydawnictwoprzelomy.pl

ISBN 978-83-8175-801-7



P20263014

Cena 69,90 zł